■ „Historyczne rozmowy na zamku Stormont"; „rokowania zamiast bomb", „szanse na pokój w Irlandii Północnej" – takimi właśnie sformułowaniami zapełniły się w trzeciej dekadzie września radiowe, telewizyjne i prasowe sprawozdania z Belfastu.

Przełom w rozmowach pokojowych w Irlandii Północnej?

W jednym stali domu...

JAN PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

Komentatorzy trwającego od trzydziestu niemal lat krwawego konfliktu między probrytyjskimi unionistami a opowiadającymi się za zjednoczeniem z Republiką Irlandii nacjonalistami szukają w wydarzeniach ostatnich dni analogii z jesienią 1921 roku, kiedy to po latach sporów i krwawych starć doszło wreszcie do negocjacji między przedstawicielami dominujących w sześciu północnych hrabstwach unionistów z przywódcami Irlandzkiej Armii Republikańskiej (IRA).

KOMPROMIS

Osiągnięty wówczas niełatwy kompromis, polegający na sformalizowaniu podziału Irlandii i secesji ze Zjednoczonego Królestwa dwudziestu sześciu (z trzydziestu dwóch) irlandzkich hrabstw, które utworzyły niezależne od władzy Londynu Wolne Państwo Irlandzkie, nie rozwiązał wprawdzie problemu irlandzkiego do końca, ale stał się w historii Zielonej Wyspy symbolem zwycięstwa pragmatyzmu nad ideologią, dowodem na to, że nawet w sytuacjach pozornie bez wyjścia można, w drodze wzajemnych ustępstw i rokowań, próbować stawiać czoło bezsensownym bratobójczym walkom, przelewowi krwi i rujnującym kraj zniszczeniom materialnym.

Czyżby zatem fakt, że 23 września w jednej sali rokowań rządowego pałacu Stormont na przedmieściu Belfastu znaleźli się równocześnie przywódca największej probrytyjskich partii Irlandii Północnej, Ulsterskiej Partii Unionistycznej (UUP), David Trimble i przewodniczący związanej z IRA partii Sinn Fein Gerry Adams, rzeczywiście daje nadzieję na rozwiązanie północnoirlandzkiego konfliktu?

Istnieniu podobieństw między dniem dzisiejszym a rokiem 1921 nie można, rzecz jasna, zaprzeczyć – faktem wszak jest, że wszyscy nieomal uczestnicy niezwykle skomplikowanej gry politycznej, jaka toczy się w ostatnich kilkunastu miesiącach wokół idei rozmów pokojowych, dokonali mniej lub bardziej znaczących zmian w swej strategii i taktyce, czy to w formie aktywnego poszukiwania porozumienia, czy choćby w postaci składania różnego typu subtelnie sformułowanych deklaracji, w których każde słowo staje się często przedmiotem dociekliwych analiz, wschodnioeuropejskiemu obserwatorowi przywodzących na myśl skomplikowane dywagacje zimnowojennych sowietologów.

Obydwa nowo wybrane rządy, labourzystowski gabinet Tony Blaira i rządząca od paru miesięcy w Dublinie prawicowa, nacjonalistyczna koalicja Bertie Aherne'a, odeszły od realizowanej (czy przynajmniej deklarowanej) przez ich poprzedników polityki odrzucania wszelkich kontaktów z Sinn Fein; obydwie administracje biorą za dobrą monetę złożoną przed paru miesiącami deklarację IRA o zawieszeniu broni, nie pamiętając jakby, że podobny rozejm z roku 1994 nie przeszkodził republikańskim terrorystom w przygotowaniu kolejnych zamachów, które półtora roku później zniszczyły londyńską Canary Wharf oraz handlowe centrum Manchesteru.

Brytyjscy i irlandzcy ministrowie zasiadają zatem przy wspólnym stole z Gerry Adamsem i Martinem McGuinnessem, choć ci ostatni nigdy nie potępili popełnianych przez IRA aktów terroru, niezmiennie obciążając moralną za nie odpowiedzialnością politykę kolejnych rządów w Londynie i samą obecność państwa brytyjskiego na północy wyspy, sama IRA zresztą, formalnie zadeklarowawszy zawieszenie broni, podkreśla nadal, że trudno jej będzie zaakceptować mającą leżeć u podstaw jakichkolwiek rokowań zasadę demilitaryzacji organizacji paramilitarnych.

Ustępstwa poczynili także unioniści z UUP, którzy pogodzili się z faktem, że zamiast unosić się – choćby najsłuszniejszymi – racjami moralnymi, muszą po prostu w sali rokowań być, choćby po to, by móc tam składać wszelkiego rodzaju protesty i zażalenia. Zwłaszcza że dwie pozostałe reprezentowane w parlamencie Wlk. Brytanii partie unionistyczne, Demokratyczna Partia Unionistyczna (DUP) Iana Paisleya i partia Unionistyczna Zjednoczonego Królestwa (UKUP) Roberta McCartneya, odmówiły udziału w toczących się w Stormoncie rozmowach, działając być może konsekwentnie i honorowo, ale równocześnie godząc się na marginalizację swej roli w toczącym się dialogu politycznym.

BIEG NA DŁUGI DYSTANS

Jak istotny jednak jest ów proces rokowań i czy rzeczywiście stwarza on nadzieję na zapewnienie pokoju? Wydaje się niestety, że mówienie o historyczności wydarzeń w Stormoncie jest przesadą; David Trimble i Gerry Adams znaleźli się wprawdzie przez krótką chwilę w jednym pomieszczeniu, trudno jednak byłoby mówić o jakichkolwiek bezpośrednich negocjacjach – unioniści weszli na salę obrad tylko w tym celu, by raz jeszcze przypomnieć tym uczestnikom rozmów, z którymi utrzymują kontakty – więc obydwu rządom, małym partiom lojalistycznym, reprezentującym utrzymujące od ponad trzech lat zawieszenie broni probrytyjskie organizacje paramilitarne, międzywyznaniowej partii Alliance, reprezentującej umiarkowanych nacjonalistów Socjaldemokratycznej Partii Pracy (SDLP) Johna Hume'a, oraz paru mniej ważnym ugrupowaniom – że Sinn Fein od IRA nie dzieli zgoła nic i że w związku z tym partia ta powinna czym prędzej zostać odsunięta od udziału w negocjacjach.

David Trimble nie tylko – czego się zresztą można było spodziewać – nie wymienił uścisku dłoni z liderami Sinn Fein, nie nawiązując z nimi nawet kontaktu wzrokowego. Stanowisku jego partii siły i wymowy dodał fakt, że stosowny dokument odczytany został przez powszechnie w Północnej Irlandii szanowanego posła do parlamentu brytyjskiego Kena Maginnisa, który w przeszłości kilkakrotnie uniknął śmierci z rąk republikańskich terrorystów. Po przedstawieniu tego stanowiska przedstawiciele UUP po prostu wyszli, pozostawiając innych uczestników rozmów, w tym przede wszystkim będącą motorem wydarzeń ostatnich miesięcy brytyjską minister ds. Irlandii Północnej Mo Mowlam, przed koniecznością poszukiwania nadającej się do zaakceptowania przez wszystkie strony formuły dalszych dyskusji.

Po wielogodzinnych negocjacjach formuła taka została przyjęta większością głosów (wbrew stanowisku Sinn Fein, jak zwykle kontestującej ideę demilitaryzacji); od poniedziałku 29 września rozpoczęły się rozmowy merytoryczne.

PRZEŁOM?

A więc przełom? A może raczej przeniesienie konfliktu na inną płaszczyznę? Podstawowe czynniki kształtujące sytuację polityczną w Irlandii Północnej nie uległy przecież zmianie: partia Trimble'a nadal pozostaje tu najważniejszą siłą polityczną i bez jej zgody nie można sobie wyobrazić rozwiązania problemu północnoirlandzkiego (jakikolwiek układ, co wielokrotnie podkreślał rząd brytyjski, musi być zaakceptowany przez mieszkańców Irlandii Północnej w referendum). Nie można też sobie wyobrazić, by pomimo poczynionych już różnorakich ustępstw ludzie Trimble'a zgodzili się na jakiekolwiek dyskusje, które mogłyby zagrozić unii Irlandii Północnej z Wielką Brytanią, unii stanowiącej wszak rację bytu ich partii i podstawę tożsamości narodowej reprezentowanej przez nich społeczności.

Z drugiej strony trudno sobie wyobrazić, by Gerry Adams mógł zaakceptować jakiekolwiek ustalenia, które pozostawiałyby szereść hrabstw w obrębie państwa brytyjskiego: chodzi nie tylko o to, że głównym celem IRA jest zjednoczenie Irlandii. Jeżeli polityka Adamsa zostanie uznana za zbyt ugodową, z IRA mogą wyłonić się ugrupowania bardziej radykalne, zbliżone charakterem do istniejących już bojówek Irlandzkiej Armii Wyzwolenia Narodowego (INLA), najprawdopodobniej odpowiedzialnej za podłożenie bomby, która zniszczyła na zaledwie sześć dni przed 23 września centrum małego miasteczka Markethill w hrabstwie Armagh. Sam Gerry Adams pamięta bez wątpienia historię przywódcy IRA z roku 1921, Michaela Collinsa, zamordowanego wkrótce po podpisaniu „zdradzieckiego" traktatu irlandzko-brytyjskiego przez jego byłych podkomendnych z IRA, dowodzonych zresztą przez późniejszego wieloletniego premiera i prezydenta Republiki Irlandii Eamona De Valerę.

W pewien sposób skrępowane są również ręce rządu brytyjskiego, który – choć niewspółmiernie silniejszy niż dożywający jeszcze parę miesięcy temu swych dni administracja konserwatywna – nie może ze względu na nienaruszalność zasady *consensusu* podejmować żadnych decyzji w rozmowach ze swymi partnerami z Dublina, niejako ponad głowami północnoirlandzkich polityków. Najważniejsze elementy północnoirlandzkiej łamigłówki mają zatem kształt dokładnie taki sam, jak poprzednio, nawet jeśli w sprawach zewnętrznych, o charakterze proceduralnym raczej niż merytorycznym, nastąpił jakiś postęp.

Na co więc można liczyć w najbliższych tygodniach? Naiwnością byłoby spodziewać się podjęcia konkretnych ustaleń czy choćby prób konstruowania takich ustaleń w drodze rzeczowej wielostronnej dyskusji: stanowiska stron są tak zasadniczo sprzeczne, a ich wzajemne uprzedzenia tak głębokie, że próby wspólnego szukania skutecznych i długofalowych rozwiązań wydają się z góry skazane na niepowodzenie. Znacznie bardziej prawdopodobny wydaje się scenariusz przewidujący długie, przeciągające się dyskusje bilateralne pomiędzy stronami; obydwa rządy oraz partie centrowe mogą w tym względzie odgrywać rolę pośredników między UUP a Sinn Fein, mogą próbować, sugerować, proponować – ale predzej czy później ktoś gdzieś zawsze usłyszy od kogoś zdecydowane „nie" – tak jak działo się już przecież, w takiej czy innej formie, wiele razy w historii Zielonej Wyspy.

Do porozumienia potrzeba by było bowiem dalszych ustępstw. Ironia sytuacji polega jednak na tym, że posługujący się demokratycznymi metodami walki politycznej unioniści osiągnęli już chyba granicę możliwych do zaakceptowania ustępstw, podczas gdy republikanie dotarli do stołu rokowań, usuwając po drodze w cień umiarkowanych i zdecydowanie przeciwnych terroryzmowi nacjonalistów Johna Hume'a, nie rezygnując z żadnego ze swoich żądań i nie oddając, choćby nawet symbolicznie i choćby przedstawicielowi któreję z neutralnych sił obecnych w sześciu hrabstwach (zagranicznym obserwatorom, rządowi amerykańskiemu, Unii Europejskiej, duchowieństwu różnych wyznań) ani jednego karabinu i ani jednego grama semtexu.

Czy w takiej sytuacji można więc naprawdę liczyć na rzeczywisty, a nie tylko formalny przełom w zagmatwanej historii Irlandii Północnej? Czy ludzie, którzy od ponad dwudziestu pięciu lat wierzą głównie w moc kuli i ładunku wybuchowego, potrafią zaakceptować demokratyczny sposób podejmowania decyzji politycznych i sprawowania władzy? Czy bliższy przykładu okaże się urzędowy optymizm obu rządów, czy gorzki i pełen rezygnacji sceptycyzm unionistycznej większości mieszkańców prowincji? Od odpowiedzi na te pytania zależą losy ponad półtora miliona ludzi.

Autor jest wykładowcą University of Ulster w Belfaście.

Kawałek racjonalnej Rosji

Prowincjusz

GRZEGORZ PRZEBINDA

W wydanej ostatnio książce „Prowincjusz" Borys Niemcow, niedawny gubernator niżegorodzki, a obecny wicepremier rządu Federacji Rosyjskiej stwierdza, że w Rosjanach tkwi „niewolnicza świadomość", a w ojczyźnie carycy Katarzyny II, Lenina i Breżniewa zawsze miała miejsce tak zwana „selekcja negatywna". Buntowników i wolnomyślicieli likwidowano, a na ich miejsce przychodzili ludzie o duszach oportunistów.

Jednak konkluzja Niemcowa, gdy chodzi o przyszłość Rosji, jest optymistyczna: „*Teraz w naszym narodzie powinno się dokonać odrodzenie wolnej myśli. Dzieci, które się urodziły w ostatnich latach, są już inne. Patrzę na swoją córkę. Ma dwanaście lat. Ma już swoje miejsce, swoje poglądy, umie się nie zgadzać, spierać, zupełnie nie rozumie, jak cudza opinia mogłaby uzyskać przemożny wpływ na całe społeczeństwo... Należy więc do pokolenia, które może żyć w wolnym kraju*". Uważny czytelnik książki Niemcowa może dojść do wniosku, że do takiego pokolenia nowych ludzi należy sam jej autor. Publikacja stanowi niemal poglądowy wykład optymistycznego racjonalizmu. Do światopoglądu jednak dociera się przez biografię.

SKĄD I PO CO PRZYSZEDŁ?

38-letni Borys Niemcow nie ma partyjno-czynowniczej przeszłości. Borys Jefimowicz z wyraźną niechęcią wspomina natomiast, że taką przeszłość miał jego ojciec, który jednak nie zajmował się wychowaniem syna („*Ojciec był wolnym człowiekiem, z nami nie mieszkał*"). Niemcow urodził się w październiku 1959 w Soczi nad Morzem Czarnym. Po przeprowadzce studiował fizykę na Uniwersytecie w Gorkim (dawniej i dziś Niżny Nowogród), a od 1981 roku pracował tam jako młody naukowiec. Pracę doktorską obronił w wieku 26 lat, a do habilitacji nie doszło tylko dlatego, że już w roku 1991 został tak zwanym „przedstawicielem Prezydenta w obwodzie Niżegorodzkim", aby następnie zostać wybranym na gubernatora tego okręgu. Od wiosny tego roku jest jednym z kilku wicepremierów rządu Federacji Rosyjskiej, a jego nominacja dokonała się na wyraźne życzenie Jelcyna. Trzeba tu dodać, że Niemcow nigdy Jelcynowi nie schlebiał, a nawet był organizatorem kampanii zbierania podpisów *przeciwko wojnie w Czeczenii*, czym przysłużył się – podobnie jak generał Lebiedź oraz premier Czernomyrdin – do dzieła zakończenia tej najkrwawszej kampanii w historii postkomunistycznej Rosji. Doczekał się za to zresztą przygany od Aleksandra Korżakowa, który w niedawno omawianych na tych łamach wspomnieniach uznał tę akcję za nielojalność wobec Matuszki-Prezydenta (Niemcow za to zauważa, iż „*Jelcyn zawsze zaczynał odczuwać niedomagania, gdy się tylko dowiadywał, że Korżakowa nie ma obok*").

Zadanie Niemcowa jest niezwykle trudne nie tylko ze względu na korupcję rosyjskiej gospodarki i polityki, lecz również dlatego, że społeczeństwo wcale nie jest reformatorom przychylne. Leszek Bałcerowicz, pomimo że w Polsce z jego oczernianiem nadal żyje rzesza bezinteresownych obrońców ludu, powinien się cieszyć, że nie jest na miejscu Czubajsa. Prywatyzację w wykonaniu tego ostatniego rosyjski naród ochrzcił przecież mianem „*prychwatyzacji*" (czyli złodziejstwa), a na prowincji – jak pisze Niemcow – imieniem „Czubajs" wabi się wyliniałe kocury.

Niemcow zdaje sobie sprawę, że rola reformatorów nigdy nie była godna pozazdroszczenia: „*Rosja to okrutny kraj. I nie wybacza ludziom nawet tego dobra, które chcieli dla niej uczynić. Dlaczego? Nie wiem. Być może dlatego, że Rosja jest zarówno europejskim, jak i azjatyckim krajem... Stąd pewni sukcesu mogą być jedynie konserwatyści, a reformatorom wypada tylko czekać na odwołanie; stąd zygzakowaty rozwój kraju*". Wierząc mimo wszystko, że zygzakowaty rozwój Rosji zakończy się wraz z odejściem tego stulecia, Niemcow pośród swoich autorytetów wymienia wybitnych reformatorów: Piotra I, Aleksandra II i Piotra Stołypina. A gdy do tej listy dodaje nazwiska Aleksandra Sołżenicyna i Andrzeja Sacharowa, daje do zrozumienia, że nie jest mu obca zasada „polityki moralnej".

NIEMCOW A CZECHOW

Generałowi Korżakowowi nikt nie powiedział, że we wspomnieniach warto byłoby cokolwiek wspomnieć o lekturach, choćby z młodości, jeżeli potem nie było czasu na czytanie... Książka Niemcowa jest pasjonująca choćby dlatego, że wyraźnie przebija z niej zakorzenienie w rosyjskiej kulturze i historii. Co ciekawe, ulubionym pisarzem Niemcowa jest Antoni Czechow, który – z czym wypada się zgodzić – „*głęboko wniknął w rosyjską duszę*". Czechow zarazem – wbrew tradycji Dostojewskiego, Hercena i Tołstoja – nigdy nie był ideologiem ani w sprawach religii, ani w sprawach polityki. W dziedzinie religijnej uważał, iż „*pomiędzy «jest Bóg» a «nie ma Boga» leży ogromne pole, po którym z wielkim trudem chodzi prawdziwy mędrzec. Człowiek rosyjski zna tylko jedną z tych skrajności, środek jest dla niego nieinteresujący, i zwykle nie wie on niczego albo wie bardzo mało*". Niemcow zaś jako „prowincjusz", któremu udało się przezwyciężyć idealistyczną niemoc „prowincjuszy Czechowa" jest właśnie rzadkim w Rosji człowiekiem środka.

Czy mu się uda? Wbrew czechowowskim, pełnym biernności „Trzem siostrom" już mu się udało dokonać wielkiego reformatorskiego dzieła w Niżnym Nowogrodzie. Miałem okazję w grudniu 1996 roku oglądać efekty jego pracy na miejscu. Teraz czytam o kolejnych wielkich inwestycjach Fiata w mieście nad Wołgą i Oką. Realizując marzenie „trzech sióstr", Niemcow dojechał również do Moskwy. Szkoda, że książka kończy się w styczniu 1997 roku i nie opowiada już o tym nowym etapie jego działalności. Wydaje się jednak, że jego impet natrafił w Moskwie na znaczny opór nomenklatury.

Niemcow pisze: „*Poczucie losu, nieuchronności jest u mnie absolutne. Nie wiem, co będzie ze mną jutro i jestem gotów na wszystko. Życie – to chaotyczny proces... nie uważam się za jednostkę wpływającą na bieg dziejów, jak często myślą inni politycy. Jestem ziarnkiem piasku, być może nie najmniejszym, jakie są w tym oceanie nieuchronności, ale mimo wszystko – ziarnkiem piasku. Ono może stawiać opór w detalach, ale globalnie nie może zmieniać życia i losu*".

Etyczni, a zarazem romantyczni maksymaliści zapewne się oburzą. Jakże to, czyżby Niemcow nie wiedział, że – jak powiedział Czesław Miłosz – „*lawina bieg od tego zmienia, po jakich toczy się kamieniach*"? On tę prawdę odnosi wyłącznie do sfery moralnej i dlatego w życiu osobistym zawsze się godnie zachowywał („*Dziesięć przykazań. Jak było, tak i jest*"). W polityce kierować się trzeba natomiast zasadą skuteczności. Gdzież bowiem są dzisiaj – a to pytanie mógłby postawić z żalem sam premier Niemcow – Jurij Afanasjew, Galina Starowojtowa, Giennadij Burbulis, Anatol Sobczak, Gawriił Popow oraz Jegor Gajdar? Co się stało z przyjacielem Niemcowa Grigorijem Jawlinskim, który chciał przebudować Rosję już jako jej prezydent? Życzmy sobie, wiedząc, że jest to niemożliwe, aby czechowowska teoria małych kroków i świadomości sytuacji, w jakiej człowiek działa, doprowadziła Niemcowa do rosyjskiej prezydentury w roku 2000.

Borys Niemcow (z lewej) i Wiktor Czernomyrdin

ROSYJSKIE PERSONY

Jeżeli ktoś chciałby z tej książki zaczerpnąć trochę informacji o ludziach z rosyjskiego świecznika, to powinien przede wszystkim sięgnąć do rozdziału „Persony". Niemcow, jeżeli tylko chce, umie jednym wartkim pociągnięciem pióra określić jakość prawie każdego napotkanego charakteru ludzkiego. Gorbaczow to „*historyczna postać*", przypominająca przedmiot, który się znalazł „*na oceanicznej fali*", „*zupełnie niczego nie rozumie w ekonomice*", ale mimo to dla historii ma takie zasługi, że w przyszłości będzie się go „*dobrze pamiętać*", Jelcyn – to „*prawdziwy rosyjski car*", na dodatek „*dobry*", „*niepamiętliwy*". Ukaz nr 1400 z 22 IX 1993 roku o wprowadzeniu wojska do Białego Domu był jego błędem i musiał się zakończyć przelewem krwi, przed czym Niemcow bezskutecznie go przestrzegał. W latach 1994-95 Jelcyn przemienił się w „*starego wilka*" i „*zlenivial*", jeśli „*w ogóle tak można mówić o carze*". W Berlinie, gdy podchmielony dyrygował orkiestrą, zachował się „*bardzo źle, potwornie*". Za tę zmianę w charakterze Jelcyna Niemcow obwinia przede wszystkim „*otoczenie*" z Korżakowem w centrum, którego wielkość i upadek mają „*charakter głęboko rosyjski*"; „*Na Rusi byli zawsze nie tylko formalni rządcy, posiadający status i pozycję, lecz również rządcy nieformalni. Był Griszka Rasputin. A teraz posiadamy swego rodzaju kolektywnego Rasputina (...). Griszka był jednak człowiekiem nietuzinkowym, swoistym talentem. Takich ludzi w otoczeniu aktualnego cara jest bardzo niewielu*".

O Czernomyrdinie czytamy, że przy całej ociężałości i niezdecydowaniu jest on pragmatykiem i przede wszystkim wie „jak robić", a nie „co robić?" Łużkow to „*cieszący się życiem, niepijący człowiek*", który postawił sobie pomnik w postaci Cerkwi Chrystusa Zbawiciela, co zresztą Niemcow – wbrew wielu rosyjskim obrońcom demokracji – poczytuje mu za chwałę. Lebiedź natomiast, któremu Rosja zawdzięcza wygaszenie konfliktu w Naddniestrzu i w Czeczenii, nie ma pojęcia o sprawach ekonomicznych i dlatego miota się pomiędzy liberałem Najszulem a etatystą Głazjewem. Czubajs to „*jeden z najbardziej utalentowanych polityków Rosji*", a Zyrynowski to „*mądry człowiek z klinicznymi odchyleniami*", który jest niebezpieczny dla Rosji, ale zarazem zawsze będzie tu miał swoje dziesięć procent.

Od Niemcowa dowiadujemy się też kilku ciekawych rzeczy o politykach zachodnich: Margaret Thatcher „*nienawidzi urzędników w Brukseli*", a Bill Clinton to „*sympatyczny człowiek, dla którego liczą się tylko trzy wartości: wolność słowa, wybory i prywatna własność*". Tymczasem George Soros, który bardzo wiele pomógł Niżnemu Nowogrodowi, „*jest dla rosyjskiego narodu osobowością całkowicie niezrozumiałą*" i stąd wynikają – dodajmy przecież, że nie tylko w Rosji – „*wszystkie te idiotyczne posądzenia, że jest agentem*". Tymczasem jest on tylko „*głosicielem wyższości praw konkretnego człowieka nad prawami społeczeństwa*" i urzeczywistnianiu tej idei poświęca swe życie i pieniądze.

NIEMCOW A KWESTIA POLSKA

Skoro jednak Niemcow wszystko tak dobrze zrozumiał, to może należy dojść do wniosku, że zgodnie z prawem „selekcji negatywnej" nie ma on żadnych szans na dalszą polityczną karierę w Rosji? Na szczęście lub niestety tak nie jest. Niemcow w niektórych swoich opiniach jest typowym dziecięciem sowieckiej epoki, co daje mu pewne szanse w dalszej politycznej karierze. O 9 maja mówi, że jest to święto tak wielkie, iż tylko głupcy mogą się w tym dniu nie cieszyć... O katolickich i protestanckich Kościołach powiada, że są obce duchowi rosyjskiemu. O Amerykanach mówi, że są przesiąknięci duchem imperializmu... Niestety i na szczęście – może takie właśnie opinie umożliwią mu w Rosji dalszą karierę?

O rozszerzaniu NATO na wschód Niemcow nie mówi nic, co zresztą jest pocieszające, gdyż widocznie ten problem nie zaprząta uwagi ludzi jego pokroju. A co mówi o nas, o Polakach? Nic, ale to nic, absolutnie ani jednego słówka... Rodzi się pytanie, dlaczego Polska pojawia się na stronicach emigracyjnego tygodnika „Russkaja Mysl", w głębokich refleksjach Iriny Iłowajskiej Alberti, w przyjaznych nam tekstach Natalii Gorbaniewskiej, a jest jej tak mało w „Rosji krajowej", nie mówiąc już o umysłach najwybitniejszych rosyjskich polityków? Być może jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy jest fakt, że – jak otwarcie mówi Dariusz Rosati – na placówki wschodnie nadal najchętniej posyła się dawnych „towarzyszy". O czym będzie z takimi rozmawiał Borys Niemcow, który mówi, iż słówka „nigdy" używa tylko w jednym jedynym kontekście: „*Nigdy nie będę głosował na komunistów i na Żyrynowskiego*"? ❑